№ 25. Piątek, dnia 19 Marca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA dnia 7 (19) Marca 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

MARZYCIELSTWO i ŻYCIE.

Rzeczywistość to potęga, przed którą chyli czoło wszelka mądrość ludzka. Prawdziwa nauka, ta wielka mistrzyni ludów, powagą wiekowych zasług zbrojna, na jej gruncie zaszczepia swe ziarno, w jej łonie zakłada fundamenty swych gmachów i dumną głowę na tych fundamentach opiera.

A świat cały korzy się przed nią—sama nawet przyroda niby zwalczony tytan, pada u jej stóp pokonana tym wpływem wszechpotężnym, i poddaje się często jej kierunkowi i władzy.

Bo wielką i potężną jest ona, a siłą jej jest prawda. Tą prawdą jest rzeczywistość, życie samo.

Obok wielkiej świątyni wiedzy, jedną ścianą lekko na niej oparta, stoi inna zupełnie, odmienna budowa. Ściany jej jasne i lśniące, posadzki marmurowe, kryształowe okna gromadzą światło, sklepienia zdobne freskami i rzeźbą, a po nad niemi wysmukła gotycka wieżyca strzela śmiało ku niebu.

Rzekłbyś, że to siedlisko zbytku i szczęścia, mieszkanie wybrańców losu, zachwyca oko, i pięknością swoją niby czarem potężnym ogarnia duszę i przykuwa do siebie.

Świątynia wiedzy zajmuje majestatycznością i powagą budowy; druga zaś zachwyca i porywa.

Pierwsza jest przybytkiem nauki—druga płodem fantazyi, marzeniem.

Czem jest prawdziwa nauka w stosunku do stwarzanych przez imaginacyą snów i pojęć, tem jest rzeczywistość wobec marzenia.

Marzycielstwo i życie....

Zastanówmy się nad tem.

Kto z nas nie marzył? Kto nie przeszedł tych złotych pasemek, nie budował zamków na lodzie.

Nie każdy zapragnął wejść do świątyni prawdziwej nauki, nie każdego nęciła jej majestatyczna budowa—ale u stóp tego poważnego przybytku, na lekkiej wód przezroczych przestrzeni, kołysze się lekkie wabiące czółenko. Któżby się zdołał oprzeć tym wezwaniom—w całej naturze panuje spokój niezwykły, powietrze oddycha balsamiczną wonią kwiatów.... mimowoli siadamy w łódkę, pochylamy czoło nad lustrzaną wody powierzchnią— trzeźwa i jasna myśl zasypia niespostrzeżenie a duszę jakiś dziwny niepojęty czar ogarnia.

Kto opisze obrazy wysnute w tych chwilach pełnych uroku. A jak ich dużo... jedne do drugich niepodobne, a wszystkie krótko trwające, przelotne, tak że je gonić potrzeba zanim się jak mgła poranna rozwieją.

Tonie dusza w tych obrązach, z rozkosznem drżeniem oddaje się ich urokom, cała istność człowieka przechodzi w krainę czarów fantazyi, marzenia.

Płyniemy w cudną tajemniczą przestrzeń, płyniemy bez zastanowienia się i pamięci, zostawiając poza sobą boleść co nas ugniata i smutki wszelkie. Wszystko co nas trapiło ginie w odległej przestrzeni, jak smutny sen wobec rzeczywistości ponętnej. I zdaje nam się wtedy, że jesteśmy szczęśliwi. Różowa zasłona przykryła jasną draperyą brudy i smutki życia—jakże pięknie dokoła i czego więcej zapragnąć można? Powoli nabieramy przekonania, że jesteśmy zupełnie szczęśliwi.

Nakoniec głowa znużona opada bezwładnie, otwieramy oczy.... lecz różowy obłok rozwiał się bez śladu, i zginął; patrzymy na świat inaczej i on nam się innym zaczyna wydawać. Po snach uroczych, smutna chwila rozczarowań.

Mile nęcą te mary jasne, ale szczęścia nigdy nie dadzą.

A jednak niema prawie człowieka, któryby podobnym majaczeniom choć kilka chwil swego życia w ofierze nie złożył. Jest to złe, bardzo wielkiego znaczenia i siły, ale jakże się od niego uwolnić? Jest to rzeczą zbyt trudną, gdyż źródło złego w wychowaniu spoczywa, i to w wychowaniu od samej kolebki niemowlęcia.

Zastanówmy się nad tem cokolwiek.

Zaledwie przyjdzie na świat mała słaba istota, troskliwa matka krępuje ją powijakiem i składa w wygodnej kołysce. Od tej chwili zaczyna się wychowanie, które polega na ujarzmieniu natury. Już wtenczas dziecię-człowiek zaczyna tracić wolność. Potrzebuje ono snu, którego sama natura w postaci zupełnego spoczynku wymaga, ale sen dziecka jest inny—i niemoże być naturalny, bo sztuka gwałcąc naturę wprowadza w użycie dziwaczny system postępowania. System, ten przechodzi w zwyczaj i dziś nikt nie ośmiela się wątpić o jego doskonałości. Mamy na myśli usypianie dziecka za pomocą kołysania. Mała główka odurza się tym jednostajnym miarowym ruchem, który sprowadza znużenie a potem sen. Dziecię budzi się, płacze, znów je kołyszą, męczą biedną główkę i znowuż sen wywołują. I mały człowiek musi ulegać tym torturom wymyślonym przez źle zrozumianą troskliwość, wolny król stworzenia traci wrodzoną samodzielność, i poddaje swój organizm i jego wymagania, dziwactwom, których nic nie usprawiedliwia, okrucieństwom do których nikt przyznać się nie chce.

Sprobujmy ułożyć w ten sposób do snu najcierpliwszego człowieka i zacznijmy rozbijać mu głowę w kołysce. Choćby miał niewyczerpany zapas łagodności i cierpliwości, rzuci się na nas jak na nieprzyjaciół i dobrowolnie torturom poddać się nie zechce.

Gdyby pielęgnowane przez nas dzieciątko miało, prócz płaczu, inny jaki sposób porozumiewania się z nami i objawienia swej woli, powiedziałoby z pewnością, że mu ból sprawiamy. Kołysanie sprowadza pewnego rodzaju ogłupienie, odurzenie, jakiego doznaje człowiek pijany, czyż więc może być dla dziecka przyjemnem i w następstwie dobre skutki przynoszącem?

Idźmy dalej—dziecię wzrasta powoli, pojęcia jego rozwijają się stopniowo, organizm nabiera siły; umie ono już chodzić, mówić, a potrochu i myśleć zaczyna. Przy każdej sposobności, w razie najmniejszego nieposłuszeństwa lub drobnego przewinienia piastunka straszy je kominiarzami lub *babą*.

Młodziutka wyobraźnia rozbudza się, dziecię kierowane siłą instynktu zachowawczego staje się na chwilę posłusznem, ulega woli swojej władczyni i jest nieopisanym strachem przejęte. Nie umiejąc dokładnie zdać sobie sprawy, czego właściwie ma się obawiać, wytwarza w maleńkiej główce obrazy straszne i przykre. Trudno jest w przybliżeniu nawet opisać widmo, trapiące umysł młodej, wątłej istotki, nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że wyobrażenie jakiegoś „stracha" istnieje w maleńkiej główce. Nie umiejąc jeszcze dobrze, myśleć zaczyna puszczać wodze fantazyi. Jest to jakby początek owych późniejszych błądzeń w krainach niedostępnych dla trzeźwej myśli, w sferach *wyższych*, nie istniejących wprawdzie na żadnej karcie geograficznej, a jednak zwiedzanych tak często przez rozmarzonych wędrowców.

Jest to niejako początek owych szarych godzin, bezczynnie w kilka lat później spędzanych. Jeszcze lat parę, wyobraźnia znajduje nowy żywioł podsycający już rozbudzoną skłonność: piastunka opowiedziała kilkanaście bajek bardzo ciekawej a zajmującej treści.

W zaczarowanym zamku mieszka cudownej urody zaklęta księżniczka i serdecznie kocha ją młody rycerz śmiałości i odwagi pełen; kochając, różne na drodze do szczęścia musi zwalczać przeszkody. To ma jej przynieść jasną gwiazdkę z nieba, to jabłko z zaczaro-

wanego ogrodu, lub wreszcie pokonać potwora, trzymającego młode dziewczę w swej mocy. Dziewczynka słucha ciekawie, każdy wyraz skwapliwie chwyta, aż jej twarz rumieńcem spłonęła; oczy wlepiła w opowiadającą, serce uderza przyspieszonem tętnem. Wreszcie wszystko się kończy jak najlepiej, piastunka, naoczny całej historyi świadek, była nawet na weselu młodej pary, która aż do obecnej chwili żyje w najzupełniejszem szczęściu.

Chłopiec żywiony tak niezdrowym pokarmem, z imaginacyą w ten sposób rozbudzoną, jeżeli ma umysł mniej silny, to nawet wszedłszy potem w grono wesołych, swawolnych kolegów szkolnych, zamyka się często sam w sobie i marzy. A pomagają mu książki, które bez wyboru pochłania, pomaga i młodziutka pensyonarka, dla której bez namysłu gotów życie poświęcić. Przypadkiem wpada mu w ręce *Marya* Malczewskiego. Chłopiec po długich samotnie spędzanych godzinach uczuwa w sobie dziwny niepojęty zapał—bierze pióro i pisze.

Nieprzebytą przepaścią oddziela się od społeczeństwa, w którem wzrósł, nie ma najmniejszego wyobrażenia o życiu, jego potrzebach i warunkach.

Ale nie czuje najmniejszej chęci poznawania tych tajemnic. Wydaje mu się to co najmniej zbytecznem, jeżeli nie szkodliwem dla jego talentu. Wzdycha i westchnienia w rytm i rym układa, z łez tworzy wyrazy z jęków poematy. „Społeczeństwo upada, woła wieszcz wydalony z gimnazyum wstępując na wielką arenę literackiego zawodu, nauka zabija poezyą, A ty złamany bólem śpiewaku, zerwij struny lutni i rozbij ją o twarde skały lodowatych serc ludzkich, co wielkości natchnienia pojąć nie mogą i nie chcą. Konaj słowiku, bo już nigdy nie uśmiechnie się do ciebie wiosna urocza, bo ostra zima całą społeczność objęła lodowatym uściskiem, a ty nie rozgrzejesz tych serc egoistycznych i zimnych—Konaj słowiku.“

I młody wieszcz czuje się nieszczęśliwym a na życie zapatruje się ze stanowiska uciśnionej i pokrzywdzonej ofiary, nie rozumie nic oprócz swojego ja rozpływającego się we łzach i jękach bez końca. Wreszcie staje się dziwakiem, złośliwym, mizantropem—unika ludzi i ludzie stronią od niego.

Taki jednak typ jest dosyć rzadki, daleko częściej się zdarza, że młody chłopiec, wychodząc z domu rodziców, śmieje się z opowiadań piastunki, a po latach kilku w książkach widzi nie jeden fałsz, przesadę, którą często instynktowo odgadnie. Zdolności, kieruje na dobrą drogę, pracuje, uczy się ćwiczeniami fizycznemi wzmacnia i rozwija ciało i wychodzi na człowieka.

Inaczej dzieje się z dziewczynką.

W ósmym roku życia, nie wiedząc wcale o tem i nie zdając sobie sprawy, kocha bohatera opowiadań piastunki—kocha go i marzy o nim.

Zwykle długo zasnąć nie może,—wreszcie usypia, a sen przynosi jej pociechę i szczęście. Widzi jak gdyby na jawie młodego bohatera obok siebie, sama jest ową księżniczką zaklętą, mieszka w bogatym pałacu i prześladowania znosi. Ale wszystko dobrze się kończy—rycerz porywa ją i unosi na wiatronogim rumaku, na jedno skinienie jego dłoni staje wielki bogaty pałac—wchodzących, służba pokornie pyta o rozkazy i w oka mgnieniu spełnić je gotowa. Budzi się dziewczę, ale o smutny, przykry losie! zamiast rycerza—nauczycielka, zamiast pałacu—elementarz i szydełkowa robota. Każą się uczyć. Przykre to bardzo, ale kiedy inaczej być niemoże, trzeba się poddać smutnej konieczności, potem dają tabliczkę mnożenia i katechizm—okropność!

Ale na szczęście i pociechę jest tam na szafce książka taka prześliczna, taka zajmująca i ciekawa. Nie ma wprawdzie tytułu i od początku kilku kartek brakuje, ale tak bardzo do cudownych bajek piastunki podobna.

Biedna uciśniona dziewczyna ucieka z domu macochy, gonią ją, młody rycerz staje w jej obronie i kona u jej stóp kulą przebity. Takie to wszystko ciekawe — wprawdzie mama już raz odebrała tę książkę, ale przecież jeszcze czas i sposobność na przeczytanie znajdzie. Dziwnym trafem znalazła się jeszcze i druga książka, jeszcze od pierwszej ładniejsza, zabijają się, mordują, waleczny rycerz otacza się wielkiemi równie jak on ludźmi, dokonywają wspólnemi siłami cudów waleczności. Są to rzeczy bardzo piękne, ale o ileż piękniejsze powieści Marcin Podrzutek, Żyd wieczny tułacz, Podziemia zamku i t. d.

I młode dziewczę wzrasta w tem przekonaniu, że jest ofiarą nieszczęśliwą szkaradnie w prosty, zwyczajny, prozaiczny tryb życia wplątaną. Nie ma bohaterów, są tylko tancerze w salonie, grzeczni i nadskakujący, ale nie pojmujący wielkich czynów i poświęceń. I jakże się z tem przekonaniem pogodzić, jakże nie wzdychać przy jasnem świetle księżyca, który tak samo świecił w chwili, gdy Albert i Wiktor krzyżowali swe szpady w walce o Izaurę.

Ach gdyby można być tą szczęśliwą, zazdrości godną Izaurą!

Te stworzenia karmiące swój umysł podobnie niezdrową strawą, podlegają następnie różnemu losowi. Jedne szukając bohatera, wzdychając bez skutecznie, godzą się nareszcie z wolą rodziców i rękę swą oddają zwykłemu śmiertelnikowi. Smutno im i źle jest na świecie dopóki nie wyrobią w sobie powołania na dobrą żonę, matkę, wreszcie na kucharkę znakomitą.

I bywa to nawet dość częstem, że zapalona marzycielka dochodzi do nieproporcyonalnej objętości kształtów i myśli nieustannie o śniadaniach, obiadach i kolacyach, które ma u siebie i u drugich spożywać. Wpada w ostateczność, bo jej wychowanie nie wskazało drogi pośredniej. Długo walczyła z sobą, zanim się z obecnem położeniem pogodzić zdołała, i dziś czuje się nieszczęśliwą, niezadowoloną z losu, musi więc w smacznych kąskach topić smutną swą dolę.

Te kobiety są jeszcze o wiele szczęśliwsze od marzycielek innej kategoryi. Te gardzą, rodem męskim. Nie ma bohaterów dawniejszych, mówią, nie ma na świecie poświęceń ani miłości. A to jest tak przyjemnem. W książkach tyle o tem piszą, że aż miło przenieść się myślą w owe czasy. Wreszcie spotykają na drodze życia człowieka, który mówi, że kocha.—To on! to on! woła zachwycona, jakże jestem szczęśliwą!

Po krótkim jednak czasie przekonywa się, że pan Józef nie zdjąłby nawet ciepłej algierki, dla przykrycia jej nóżek, kiedy razem jechali sankami. Pan Józef nie miał ochoty iść do księgarni po książkę dla niej, ponieważ deszcz padał, a on się obawiał kataru. Nie ma bohaterów, mówi sobie w duchu i smutno jej na sercu, bo samotność zaległa duszę. Po niejakim czasie pan Józef dostaje odkosza. Młoda marzycielka rwie włosy i łamie ręce z rozpaczy wyrzekając na świat i ludzi, co zdeptali nogami jej cudowne marzenia.

I zostaje starą panną, marzy czyta i wzdycha; kocha pieska, papugę i ołtarzyk złoty, a świat nazywa miejscem próby doczesnej.

Zmarnowała życie, bo miała skrzywione o niem pojęcie, nie rozumiała tego, co jest na świecie a stwarzała to, czego nie ma i być nie może.

Jest to winą wychowania.

Jakże usunąć to złe wielkiej wagi, znaczenia i wpływu, jakie na nie lekarstwo wynaleźć. Łatwa odpowiedź—jest to obowiązkiem matek. Która odda swe dziecię piastunce, potem bonie lub nauczycielce na pensyi, a w domu pozostawi je własnej woli, ta może być pewna że szczęścia swemu dziecku nie buduje. Gdyby sama zajęła się troskliwie swoją córką, gdyby jej poświęciła te wszystkie godziny,

U OGNISKA.

(Xy) A było to nad modrym Dunajem....

W stolicy Habsburgów odgrywała się wielka komedya zwana „wystawą światową.“ Trzeszczały mury Wiednia od natłoku ciekawych, tysiące widzów spadało codzień jak z deszczem, żywa ludu fala zalewała od rana do nocy ulice. Stara Vindobona, zręczna kokietka, mizdrzyła się i uśmiechała, poprawiając co chwila toaletę i starając się ustawnie nowym olśnić wdziękiem. Dzieci jej z głową w górę podniesioną uważały za swój największy obowiązek godnie Europie się przedstawić, oszołomić i zadziwić przybyszów. Starano się imponować na każdym kroku; luks tu, luks tam, jak mówi Geldhab, luks wszędzie.

Wtedy to, pamiętam, na Graben uderzyła mnie rzecz dość dziwna. Z długiego łańcucha wszelkiego rodzaju wehikułów, na które patrzyłem się od dłuższego czasu z okna jakiejś „Conditorei“ wyróżniał się amerykański karykiel ciągnięty czwórką białych jak mleko rumaków. Uprząż lśniła przepysznie, sam właściciel, człowiek tuszy dość wspaniałej, ozdobiony faworytami, wciśnięty w rajtrok i nakryty angielskim szerokim kapeluszem, siedział na koźle i zastępował w funkcyi woźnicę, wysokiego draba, drzemiącego się za nim na jedwabnych poduszkach..... Dżentelmen ów zainteresował mnie, mocno. Kto on? zapytałem, siedzącego obok mnie Niemczurę.

— To możny pan O. F. Berg — odpowiada zapytany,—redaktor *Kikeriki* właściciel *Extrablattu* i autor mnóstwa sztuk przedstawianych na scenach przedmieściowych. On, krzyknąłem, to wy macie takich bogatych pisarzy, takich lwów? jakimże sposobem ów pan dziennikarz i dramaturg zarazem przyszedł do fortuny, czyż z pióra? Niemiec wahał się chwilę a potem rzekł „przeczytaj pan jego pisma, weź *Kikeriki* do ręki i *Extrablatt*, zobaczysz, poznasz, odczujesz, przekonasz się; spryt, czelność popłaca, *man muss leben und leben lassen*“ i skończył.

Przyznaję się ze skruchą, iż chciwie rzuciłem się na wskazane mi bibuły; krótki jednak przegląd wystarczył na sfosmułowanie zdania, iż *Kikeriki* jest zlepkiem lichych konceptów, przeplatanych gęsto reklamą, *Extrablatt* zaś, dziennik codzienny, ilustrowany kopią paryskiego *Figara*, lokajem potentatów finansowych, pismem służącem na zawołanie każdego obywatela, słowem organem, który sami Niemcy nazywają *schändblatt!*

Tymczasem pan O. F. Berg, szparko prowadził czwórkę i bryzgał błotem na przechodniów, który z uszanowaniem się rozstępowali a nieraz głębokim czciłi go ukłonem.

Karykiel pana Berga, jego rajtrok i kapelusz, *Ekstrablatt* i *Kikeriki*, biała czwórka i galonowiec rozparty na jedwabnych poduszkach, wszystko to zabrało mi wiele czasu; począłem pilnie śledzić całe dziennikarstwo wiedeńskie, szperać i badać, aż doszedłem do przekonania, że większa połowa redaktorów z nad Dunaju mogłaby bez skrupułu powitać rodzoniuteńkiego braciszka w panu Villemessant z nad Sekwanny...

Do myśli tych przybłąkało się także porównanie naszych stosunków dziennikarskich; z dumą mogłem podnieść czoło i wyznać, że biedny, niepozorny i małoznany warsza-

które często nad *Dziennikiem Mód* lub na wizycie przepędza, inaczejby było. Będąc sama kobietą doświadczoną, nie podawałaby dziecku trucizny. Nawet jeżeli nie jest odpowiednio wykształconą, instynktem macierzyńskiej miłości odgadnie, jaką książkę dać do czytania córce, a jaką wyrzucić z jej pokoiku.

O ileby społeczeństwo na tem zyskało, zrozumie łatwo każdy, bo każdy spotyka dość często kobiety wyrzekające na świat i ludzi wzdychające do nieokreślonych ideałów, istoty dziwaczne, niezrozumiałe i śmieszne.

Jeżeli matka zechce dołożyć starań, poświęcić parę godzin dziennie na rozmowę z córką, przedstawi jej życie takiem, jakie ono jest rzeczywiście, straci ją ze szczytu marzeń w jakich błądzi, wtedy chociaż młoda dziewczyna spotka się z książką niestosowną, która jej umysł podrażni i wyobraźnię rozbudzi, poduma nad tem przez chwilę, a potem zapomni, bo ma na życie swój pogląd własny, pogląd swej matki, która jest pod tym względem najlepszą i jedyną nauczycielką.

W rękach matek los córek spoczywa.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Dytmar nieznajduje słów do opisania, w jaki sposób wspaniały był cesarz podejmowany, i przez całe państwo polskie aż do Gniezna przeprowadzany. Gallus jest trochę wielomówniejszy, lubo także zaczyna od unoszenia się nad „cudami cudownemi,“ jakie Bolesław na przybycie cesarza nagotował. Najprzód różnorodne szyki rycerzy a potem dostojników więc duków i komesów, na rozległej płaszczyźnie rozstawił, na kształt chórów śpiewaczych. A każdy pułk w innej barwy szaty, był przyobleczony. W ozdobach zaś nieladajaka okazywała się rozmaitość, lecz co najkosztowniejsze lśniły się na zebranych. Gdyż za czasów Bolesława wszyscy rycerze, a także i niewiasty przy dworze, używały bławatów zamiast lnianych lub wełnianych strojów, a futra najdroższe, choćby świeżo ze zwierza zdarte, na dworze książęcia nieużywały się inaczej jak z złotogłowiem i bławatem. Złoto miano na równi ze srebrem, srebro za tyle sobie ceniono co plewę.

Szyki rycerstwa niemałe wrażenie robić musiały, bo z okręgu poznańskiego występowało tysiąc trzysta zbrojnych w pancerze, a cztery tysiące używających tylko tarczy do zasłony w boju. Z Gniezna półtora tysiąca pierwszych, a pięć tysięcy drugich; z Włocławka ośmiuset pancerników z dwa tysiące tarczowników, z Gdecza trzysta tamtych a dwatysiące tych wyjechało na spotkanie cesarza.

Oznaki rycerskiego cechu, złoty łańcuch, nie tylko pierś rzeczywiście pasowanych w uroczystym obrządku zdobił, ale był też używany przez ludzi znakomitszych rodem. Nieświadomy tego Otto III, wszystkich zarówno od rycerstwa liczył, i zdumiony tą oznaką potęgi, wyrzekł: „Klnę się na mą koronę cesarską; więcej mię oczy oglądają, niż pogłoski zapowiadały.“ Gdy ujrzał zdaleka domy upragnionego Gniezna, cesarz zsiadł z konia, zezuł sandały i boso jak pokutnik zbliżał się do grobu męczennika. Późniejszy opisywacz cudów Ś. Wojciecha powiada, że na 2 mile przed Gnieznem droga dla cesarza aksamitem była wysłana, i pokryta baldachimem. Ze czcią przez biskupa Ungera przyjęty, wszedł do kościoła, gdzie zwłoki świętego się znajdowały, i lejąc na klęczkach łzy hojne, błagał wstawienia Ś. Wojciecha u Boga za swe grzechy.

Następnie zwołał synod do Gniezna, w którym wziął udział dawny i nowy arcybiskup: Gizyler i Gaudenty, biskup Unger, proboszcze Krakowa, Wrocławia i Kołobrzega wskazani na biskupów, może też i biskupa świta Gizylera, i wprowadził w życie układ rzymski. Źródła niemieckie, wbrew Dytmarowi, donoszą o fundacyi nie czterech ale siedmiu stolic biskupich. Być może policzyły później utworzone kujawsko-włocławskie, i lubuskie zdobyte przez Bolesława.

W każdym zaś razie przez pozostawienie Ungera pod zwierzchnictwem Gizylera magdeburskiego, w ziemiach Bolesława utworzyło się dwie archidyecezye. Jedna swojska to jest gnieźnieńska, do której Kraków, Kołobrzeg i Wrocław należały, i druga, obca, magdeburska, do której zaliczono poznańskie.

Otto urządziwszy tak samodzielną hierarchią w Polsce, zrzekł się wszelkich praw jako cesarz, do organizacyi duchownej tak w Polsce, jak w podbitych lub mających się jeszcze podbić krajach pogańskich, i to zrzeczenie potwierdził papież Sylwester. Mocą takowego, Bolesław nabył prawa naznaczania biskupów, fundowania dyecezyi, i t. p. Jak daleko zachodziły te prawa, można mieć próbkę w zastrzeżeniu 1238 r. aby świecki panujący niestanowił i nieskładał z urzędu kapłanów bez wiedzy biskupa. A jeżeli który z dostojników świeckich wszczął spór z jakim duchownym, wyższego lub niższego stanu, lub sobie coś z mienia kościelnego przywłaszczył, Bolesław nakazywał świecką powagą powaśnionym milczenie, i występował w obronie biskupów i Kościoła, jako opiekun (patron) i rzecznik ich z urzędu. Biskupów i kapłanów miał w takiem poważaniu, że gdy oni stali, on siedzieć nieśmiał, i by ich tym więcej uczcić, jak to już wspomnieliśmy, dawał im tytuł ksiądz, tyle wówczas znaczący co obecnie książę.

Podniesiony do tak wysokiego stanowiska w swem kościele Bolesław, zwierzchnik i kierownik w zewnętrznej jego organizacyi, zarazem dostąpił i nowego uczczenia, oraz odznaczenia w stosunku swym do niemieckiego władcy. Został wyniesiony do stanowiska księcia pokoleniowego w sposób urzędowy, gdy jego ojciec Mieszko Lambert został margrabią (Komesem) słowiańskim w państwie niemieckiem, prawem słabszego podbitego. Otto przejęty rzymskiemi wspomnieniami, nawet stosunek duków Bawaryi, Szwabii i t. d. do króla Niemiec, po starorzymsku określił, nazywając tego nowego w Polsce duka niemieckiego Bolesława Magnusa „przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego“ (populi romani amicus et socius). Coby podobny tytuł w starożytności znaczył, nauczy jeden przykład. Antyoch III Wielki, Seleucyda, władzca Azyi Mniejszej, i dalszych okolic, w skutek pokoju 129 r. przed Chr. z Rzymem zawartego, otrzymał także nazwę świetnie brzmiącą: przyjaciela i sprzymierzeńca ludu Rzymskiego. W zamian jej zaś niewolno mu było najeżdżać sąsiadów zachodnich, lub nawet w razie wojny obronnej gdy oni napastowali zdobycze w ich ziemiach czynić i zatrzymywać w układach pokojowych, posiadać wyższą nad konieczną potrzebę wojska i floty, robić zaciągi w zachodnich krajach i przechowywać z nich zbiegów u siebie. A kiedy Antyoch 168 r. stał przed egipską Aleksandryą, aby do nowozdobytej Syryi, dodać i spadek po Ptlolomaidach, zjawia się w obozie „sprzymierzeńca ludu rzymskiego“ tegoż ludu wysłaniec Gajus Popilius, z rozkazem, aby Antyoch dobrowolnie oddał zdobycze, a Egipt opuścił w danym przeciągu czasu. Król żąda zwłoki do namysłu. Popilius zakreśla koło na piasku wkoło niego, i zapowiada, że niewystąpiszz koła, niezgodziwszy się na me żądanie. I tak się stało.

Niechcemy twierdzić, by równie bezwładnym był nasz Bolesław Magnus w ręku Ottona III,

---

wski dziennikarz nie mieniałby się za żadną cenę z panem O. F. Bergiem wraz z jego karykiem, czwórką, pismami i portfelem, który jak mówią nie cierpi na suchoty.

Czem-że my wyżsi? Uczciwością, honorem, czystością rąk, spokojnem sumieniem, przekonaniem, iż nie zwyczajny głód chleba rzucił nas na tę drogę, na której róże nie rosną lecz za to ostry cierń się pleni.

Tak myślałem dotąd. Ubiegłej soboty autor artykułu wstępnego w *Przeglądzie Tygodniowym* usiłował przekonać mnie i nas wszystkich, iż dziennikarze warszawscy to sfora posłuszna skinieniom królów finansowych, to lazzaroni wygrzewający się pod promieniami rubla, to frymarczący piórem przekupnie, krótko mówiąc pismaki miary germańskiej i francuskiej. W chwili tej widmo zapomnianego prawie O. F. Berga żywo stanęło mi przed okiem, przeleciał szybko amerykański karykiel, rumaki parskały a drab galonowany szyderczo na mnie spozierał... Oglądam się... gdzież jestem — czy przypadkiem Krak.-Przedmieściem nie sunie się w ten sposób jaki warszawski redaktor, czy rzeczywiście wielu między nami pulchnych i okrągłych, zadowolonych, szczęśliwych, kąpiących się w złocie i... błocie!

Przestrach trwał krótko.... dziurawy but mój zanadto dobitnie przemawiał, łokieć mego kolegi nie był też niemy, blade, zaspione oblicze sąsiada dziennikarza, drżącego z trwogi o jutro straszne dlań i jego rodziny, świadczyło także dość wymownie... *Na szczęście jesteśmy jeszcze nieszczęśliwi!* Brak nam iście przepychu owych panów à la Berg i Villemessant—ale za to mamy bielszą od nich rękę i jaśniejsze serca...

A więc, zapytacie, co znaczyła inkryminacya *Przeglądu Tygodniowego*? Czy to jawa, czy sen tylko... Tak! śniło się to *Przeglądowi* jemu samemu, w śnie widzieć musiał *przyszłość* ale czyją... czyją? To pewna, że nie naszą, nie przyszłość uczciwej części dziennikarstwa, żyjącej obecnie zdrowo i zacnie. A więc na przyszłość ze snami jakie cię trapią z przeczuciami odnoszącemi się do ciebie może, ostrożnie mój *Przeglądzie*, cicho sprawuj się lepiej... Nie ogłaszaj publicznie tego co tylko twojem marzeniem być może lecz nie rzeczywistością wpośród naszej prasy.

A teraz niech mi się pozwolą najszanowniejsi czytelnicy i skromne czytelniczki moje przeprosić za tak długie poranie się z kwestyą, która nas tak oburzyła... Kierowani zasadą, iż brudy w własnym kącie prać należy a nie rozwłóczyć ich wszędy, chcieliśmy z *Przeg. Tyg.* krótko się rozmówić. Mamy jednak nadzieję, iż wkrótce, jeżeli w tym kierunku katoński ów organ dalej pójdzie, nie będzie potrzeba odpowiedzi, nikt bowiem nie zechce się zniżać do niej, zarówno jak nikt na czytanie kart jego się nie odważy...

Wróćmy lepiej do miasta. Miasto rusza się i żyje—koncertami i odczytami. Wyliczyć tylko pierwsze trudno jest, wysłuchać drugich jeszcze trudniej! Przyznać należy warszawianom potężną dozę cierpliwości i pobłażliwości, jaką mają dla występujących na estradach... Kiedy jednak już o koncertach mowa, wspomnieć należy słówkiem o koncercie studenckim, zwłaszcza iż stanął przed nami Wagner, Ryszard Wagner, muzyk przyszłości! Słyszeliśmy wiele części z „Lohengrina“ nie wyzwolo-

atoli sądzimy, że przez tę charakterystykę, rzymską, wziętą żywcem z ust cesarza zostaje sprowadzone do odpowiedniej miary feudalnych ówczesnych stosunków, obok amicus et socius populi romani, położone przez Gallusa określenie nowej godności Bolesława frater et cooperator imperii. Zwrócić dość uwagę na tytuł ten „brata i współdziałacza cesarskiego" dany w tym razie Bolesławowi, aby się przekonać, że takowy zgodny był z historycznie znanemi szczegółami lennej wojennej służby i wierności tego księcia tak dla Ottona III jak i Henryka II, (jak to i z jego ojcem się działo). Bolesław Krzywousty w uderzający sposób używa obu tych wyrażeń: braterstwo i spółuczestnictwo przy określeniu stosunku podrzędności swojej do Zbigniewa, gdyby ten zajął się prowadzeniem wojen, odbywaniem narad, przyjął na się całą pieczę i troskę o państwo. „Gdybyś (powiada on u Gallusa) trud ten wziął na się, i prawdziwym zawsze okazywał się *bratem*, miałbyś zawsze we mnie prędkiego pomocnika v. *spółdziałacza* czy do wspólnej rady czy do potrzeby wojny państwa." Jestto aluzya do wyłożonego już przez nas, stosunku najwyższego rządcy brata, do jego spół-braci i spółrządców w Polsce, w gruncie niewiele co różnego od stosunku ówszesnego króla niemieckiego do swoich książąt pokoleniowych. Infeudacya, posiłki lenne i inne symbole zwierzchnictwa nietamowały rozwoju wewnętrznej autonomii, i ostrego nieraz wystąpienia przeciw zwierzchnikowi.

I Bolesław-Magnus, mimo zależności lennej od Ottona III, teraz w Gnieźnie w uroczystym obrzędzie intronizacyi uwydatnionej, czuł się tak swobodnym jak wprzódy, gdy tylko „składał haracz," na wzór ojca. Jeszcze Henrykowi V wymawiał Krzywousty 1109 r., że niegodnie jako cesarz, i wbrew prawom rzymskim postąpił wkraczając w obce granice, a „zwłaszcza w granicę swego lennika," nieuprzedziwszy go o tem. Przymuszony niechce złożyć 300 grzywien haraczu, lub 300 rycerzy dostawić, ale z dobrej woli „tyleż pomocy albo porady znajdzie cesarz u niego, co Henrykowi poprzedniczy u Krzywoustego dziadów." Jest to żywcem powtórzenie definicyi „pomocnika, spół działacza cesarstwa" (cooperator), jakim był Bolesław mianowany przez Ottona, i zaraz po tej nominacyi (niby na dowód swej zależności) odprowadzający go w poczcie trzystu kiryśników, jako posiłku lennego, do Magdeburga.

Spójrzmy na późniejszy nieco (1003 r.) obrząd wstąpienia na tron czeski Jaromira, a zagadka koronacyi rzekomej Bolesława-Magnusa (wedle opowieści Gallusa) wyjaśni się, i przemieni na stosowniejszą do spółczesnych i późniejszych faktów uroczystość infeudacyi.

Jaromir przed bramami Pragi zaprzysiągł ludowi prawa, wprowadzony do miasta, został dawnem dostojeństwem na tron wyniesiony (inthronizatur) i złożywszy podłe szaty przywdział bogatsze. Przypomina nam to Karyntyski zwyczaj przy objęciu władzy przez nowego księcia zachowywany, że występował zrazu w siermiędze chłopskiej i od wieśniaka dopiero tron swój nabywał, a wtedy szaty przyoblekał właściwe swej godności.

Następnie Jaromir udał się na Wyszogród, i tam go lud panem swym (dominus) okrzyknął. Skoro król przybył niemiecki, przyjął go biskup Tydag, i książę (obrany przez lud) Jaromir, z mnóstwem duchowieństwa i narodu, i zaprowadził do kościoła Ś. Jerzego. A wtedy, w obliczu wszech krajowców, Jaromir od króla został uczczony wszelkiemi dostojeństwami ojcowskiemi.

Zwróćmy się teraz do Gniezna, a zobaczymy, że i tam biskup Unger i książe Bolesław przyjmują wspaniale cesarza. Następuje, jak w Pradze, ze strony Ottona potwierdzenie już dzierżonej władzy przez Bolesława: wszelako władzę tę nazwano godnością królewską. Gallus w usta cesarza kładzie wykrzyk: „Niegodzi się takiego męża, jakby jakiego zwykłego dostojnika (mego państwa) odznaczać tytułem komesa lub duka (hrabiego lub księcia rządzącego). Raczej wypada uczcić dyadememi wyniesionego chlubnie na tron królewski." Już więc tron książęcy (jak Jaromira) zmieniono w królewski (Bolesława), choć sam dyadem cesarski włożony na głowę Bolesława, wedle tegoż samego Gallusa ma być znakiem nie koronacyi, ale „związku lennego" (amicitiae foedus). Wyrażenie to ostatnie Gallusa zupełnie słusznem jest wobec poglądu, że cesarz wkładając dyadem swój na głowę Bolesława nie zrzekał się nad nim zwierzchnictwa, tylko wwiązał go tym symbolicznym znakiem w dzierżone dotąd nieurzędowie czyli nielegalnie ziemie polskie. Podobnie Pepin francuski kapelusza oddaniem darowiznę zrobił; Ryszard Lwie Serce angielski z królestwa Arelatu hołd złożył kapeluszem cesarzowi niemieckiemu; w naszych aktach (np. r. 1304) wręczenie kapelusza jest znakiem cesyi praw własności do ziemi dotąd ją dzierżącego, na rzecz biorącego kapelusz, obok faktu istotnej sprzedaży w użyciu będącym.

(D. c. n.)

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

List III.

Wenecya.

Peri! visita dei bagagli signori—un' ora d'arresto! Witajcie mi Włochy, kolebko sztuk i nauk bądź pozdrowiona... wołam rozradowany serdecznie, z przybycia do portu, z którego wrócę zdrów lub nie wrócę wcale.—Zresztą przyznajcie czytelnicy, że ten wyraz Włochy, Italia, sam już zdolny przyspieszyć bicie dwudziestoletniego serca. Rzym, Neapol, Wenecya, Genua, Florencya i Medyolan, Piza z swoją katedrą i Camposanto i Bolonia ze swoją galeryą obrazów i pochyłemi wieżami. Dante i Tasso, Rafael i Michał Anioł, Savanarola i Machiawel.. Tyle miejsc, nazwisk geniuszów ludzkości, tyle wspomnień naraz ciśnie się do głowy, że mimowolnie rozkoszny dreszcz cię przejmuje na pierwszy sygnał przybycia.

Nawet dwaj towarzysze moi byli wzruszeni.. Delateau nic nie mówił przeciw zwyczajowi a Mortopulos coś mamrotał do siebie, tym razem wyjątkowo zdaje mi się w ojczystym języku. Niestety i raju nawet ziemskiego strzeże cerber nazwany celnikiem. La dogana signori! la dogana. Trzeba było iść do rewizyi. „Pozwólcie moi drodzy powiada Mortopulos ja się za was załatwię, a wy dla mnie przez ten czas kupicie bilety. Człowiek nigdy nie przeczuje nieszczęścia... zgodziliśmy się na tego rodzaju załatwienie stosunku z komorą, licząc na gruntowną wiedzę Mortopulosa, który jak utrzymywał z ośmiu języków najlepiej znał włoski jako do języka Wołochów najbardziej zbliżony.

W jaki kwadrans niespełna wiedzieliśmy już co o tej umiejętności naszego przyjaciela trzymać. Krzyk, wrzask, łajania, wyciągnęły nas z bufetu i poprowadziły najłatwiej do miejsca spornego. A czas był wielki,—Mortopulos bowiem eskortowany przez tłumy narodu, straż celną i żandarmów wędrował najprościej z banhofu do aresztu miejskiego...

Co! jak! dlaczego? rzecz jasna... zwymyślał samego naczelnika komory i chciał obić

---

nego wprawdzie zupełnie od właściwego temu mistrzowi szurumburyzmu i gmatwaniny akordów, lecz świecącego już jaśniej prawdziwem natchnieniem. Wykonanie, pod umiejętnem kierownictwem p. Müncheimera nie pozostawiało nic do życzenia.

Z odczytów mieliśmy w tych dniach p. Glüksberga nieco ciężką lekcyą „o prawach artystów i literatów" nadto pani Morzkowskiej (Marenné) rzecz „o pracy."

Natomiast posiedzeń publicznych pierwszą połowę marca zapełniających, mniej teraz, te zaś, które się odbywają przechodzą cicho, bez owych głośnych opozycyi, jakich zwykłem następstwem bywa rozbicie towarzystw. Na uwagę zasługuje posiedzenie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Towarzystwo rozwija się pomyślnie i liczy dziś 1,162 członków. Podaje ono dłoń pomocną artystom, których prace cenione bardziej (niestety!) zagranicą jak w kraju zapełniają galeryą wystawy. Na prdmium tegoroczne wybrano obraz pędzla p. Sypniewskiego Feliksa, p. t. „Toast weselny." Litografował go u nas p. Walkiewicz. Na członków komitetu powołano pp. Gersona Wojciecha, Lessera Aleksandra, Murzynowskiego Antoniego, Brodowskiego Józefa, Tegazzo Franciszka, Schimelfeniga Adolfa, hr. Stanisława Kossakowskiego, Romana Wierzchlejskiego, Hipolita Skimborowicza. hr. Stanisława Zamojskiego, Ludwika Jenikiego, Feliksa Sobańskiego; do delegacyi rachunkowej wybrani zostali: pp. Dejke Karol, Wrotnowski Lucyan, Jaworski Wincenty. Hr. Kosssakowski został następnie obrany wiceprezesem.

Kończąc dzisiejszą gawędkę oznajmiamy, iż opera włoska, do której się już ostatecznie przyzwyczajono (do wszystkiego na świecie przyzwyczaić się można) opuszcza Warszawę i przenosi się pod ciepłe Italii niebo.... A na rok przyszły? Na rok przyszły — obejdziemy się bez impressaria, natomiast zaś Dyrekcya Teatrów sama wybierać będzie włoskie gardła. I tak mamy mieć podobno p. de Sanctis, krępego, świeżym głosem obdarzonego tenorzystę, p. Gasperini właściciela potężnych basowych tonów, p. Sovestre przyjemnego barytonistę i p. Karolinę Cassanova de Cepeda, która czarowała nas potęgą swego głosu i sprawiła, że początkowa zawziętość publiczności ku jej ziomkom przemieniła się wreszcie w.... sympatyą. Ach śpiewaczki, ach kobiety, kobiety!

dozorcę celnego, gdyż z jednym i drugim nie mógł się porozumieć.

— Chciał obić, ale nie obił, zwymyślał bo nie umiał języka! Nie dajemy za wygraną i przychodzimy z interwencyą. Delateau wspomina coś o swoich wysokich stosunkach, o wuju deputowanym... ja silę się na Włoszczyznę przeplatając ją co kilka wyrazów miłem Eccelenza... Pan dyrektor się rozczula i rozkazuje w końcu zwrócić naszego przyjaciela z drogi do kozy. Chwytamy go w lot i natychmiast pakujemy do wagonu, pod straż konduktora, bo byłby zrobił nową awanturę i rzecz szczęśliwie się kończy, opłaceniem 16 lirów (tyleż franków), cła za kilka funtów herbaty, które wiozłem ze sobą. Od tego czasu Mortopulos, został pozbawiony zarządu ministerstwem spraw zagranicznych i misyi na zewnątrz. Należy oddać sprawiedliwość naszemu przyjacielowi, że umiał się pogodzić ze swoim losem i w wewnętrznych sprawach dosyć nam krwi napsuć.

Nie wspominając o Trydencie (Trento) leżącym jeszcze w Tyrolu, który przedstawia tylko interesujące wspomnienia z Koncylium (r. 1545 do 1563) zamknięte w katedrze i Santa Maria Maggiore, gdzie nasz Hozyusz się odznaczył; o Solferino bitwą sławnem, opuszczam całą drogę od Botzen do Werony, aby w tej ostatniej pierwszy raz się zatrzymać na drodze do Wenecyi... trzecim moim suchotniczym etapie.

Werona tedy, jedno z najstarszych miast w Europie, liczy dzisiaj około 50,000 mieszkańców i rozpościera się po obu brzegach Adygi. Za czasów Rzymskich kilka razy palona i burzona do szczętu, przez hordy najezdnych barbarzyńców, z owych czasów zatrzymała jednak dwa zabytki, z których jeden, do dziś dnia utrzymany w pierwotnym stanie, jest najpiękniejszym z rzymskich pomników w świecie. Chcę tu muwić o *Arenie*. Teatr igrzysk szerczy w większej połowie nietknięty dając sobą obraz siły i potęgi świata starożytnego. Cały z marmuru zbudowany gmach ten, wysoki jest na 180 stóp a ma 1470 stóp obwodu. Czterdzieści pięć rzędów miejsc wznosi się jeden nad drugim mogąc pomieścić 25,000 siedzących widzów a 75,000 stojących. Mówcież czytelnicy w obec tego ogromu o naszych wielkich teatrach i widowiskach. Arena werońska przetrzymała trzy pożary i dwa trzęsienia ziemi; zaledwie przy większem, które całe miasto prawie obróciło w perzynę (r. 369) część obwodu zewnętrznego uległa zniszczeniu... Niechże teraz wieki nowe chwalą się trwałością swoich budowli. Drugim zabytkiem starożytności jest świątynia Minerwy zamieniona a raczej włączona do dzisiejszej katedry *Santa Maria matricolare*. Z dawnej świątyni pozostały tylko wspaniałe dawne pilastry i fundamenty, na których budowano świątynie chrześcijańskie. Po Rzymianach przyszli Longobardowie, lecz ich sztuka nie pozostawiła tu żadnych wspomnień, jak i późniejszych Germanów. Chybaby za takie liczyć dwa pomniki w katedrze: Rolanda i Oliwiera, dwóch wodzów Karola Wielkiego. Są to duże bryły z marmuru nędznie ociosane, mające przedstawiać tych wojowników. Proporcyi czystości linii w nich nie szukaj. Ot kamieniarska robota, ciekawa jedynie dla archeologa. I tyran Ezzellino nic tu po sobie nie zostawił. Dopiero można rodzina Scalligherich władając Weroną przez lat 127 stworzyła dla sztuki werońskiej erę podobną do tej, jaką Florencyi dali Medyceusze, rozumie się odpowiednio do warunków epoki. Wszystkie prawie kościoły werońskie za czasów Scalligherich powstały. Wspaniały ratusz, pałace, fontanny i wreszcie groby tej rodziny przy *Santa Maria l'antica*, im zawdzięczają swoje istnienie. Szczególnie piękne, jako rzeczywiste dzieła sztuki, są pomniki Scalligherich a najpiękniejszy z nich pomnik Kangranda (1329) z statuą konną mistrzowskiej roboty. Niestety nazwisko rzeźbiarza pozostało nieznane. W r. 1524 Werona przeszła pod berło Wenecyi i wtedy już sztuka w Weronie przechodziła też same koleje co w całej Lombardyi. Tycyan, Tintoretto, Pisanello Liberale da Verona całą Lombardyą ozdobili swemi arcydziełami. W Weronie do dziś dnia pozostało Wniebowzięcie Maryi P., Tycyana w katedrze, chrzest Chrystusa Tintoretta w *San Giorgio* (Francuzi zabierali go do Paryża) kilkanaście obrazów Pisanella prawie w każdym kościele, równie jak Torbida, Carotta i innych minoris gentium. Zwiedźcie kościoły, ogród Giustich najbogatszy w cyprysy z całych Włoszech ze wspaniałym na miasto widokiem, galeryą posągów ze znakomitych Werończyków złożoną w *Pallazo del Consiglio* (Ratusz) i można wyruszyć w dalszą drogę po jednodniowym odpoczynku. Przepraszam zapomniałem, zostają groby Julii i Romea. Oj! ci wielcy poeci! Dosyć żeby wymyślili jakąś historyą, naznaczyli jej miejsce, a świat cały uwierzy, że historya prawdziwa i że rzeczywiście w tem miejscu się stała. Nie trzeba na to nawet geniuszu Szekspira, który bajkę swej tragedyi wziął z podania miasta. Lukki czy Sienny o kapitanie Silvano i pięknej Marynie. Toż w Marsylii pokazywano mi w zamku If celę w której miał być więzionym Monte-Christo a w Wenecyi piłem wino Cypryjskie, o którem przed Wiktorem Hugo nikt nie słyszał. A zatem Romeo i Julia byli w Weronie, gdy Szekspir był im tam kazał i ludność cała wierzy w to jak w Ewangelią. Naturalnie, że sentymentalny Delateau, nie mógł wyjechać z Werony, bez widzenia grobów i domu kochanków i balkonu z którego Żuljeta sławny monolog deklamowała. Idziemy zatem naprzód na grób bohaterki w ogrodzie przy dawnym klasztorze Frańciszkanów zamienionym obecnie na wozownie. Drzew kilkanaście na około bryły marmurowej... Oto groby Werony... woła Cicerone... Delateau deklamuje jakiś wiersz elegiczny, a Martopulos rozmierza przestrzeń, twierdząc że scena była ogromnie zacieśniona i Parys z Romeem nie mogli się tam pojedynkować swobodnie. Udajemy się następnie do domu Capulettich. Nad drzwiami głównemi znajduje się kapelusz złoty; zresztą w spisie szlachty werońskiej Capuletti figurują. Pałac zmieniony został obecnie w oberżę a dawny jak utrzymują ganek zamieniono na piec do bułek. Delateau kontentuje się obejrzeniem na zewnątz, ale Mortopulos każe się pakować do pieca dla zbadania rzeczy gruntownie. Po kilku sekundach miał dosyć i wyszedł zaczadzony, zawalany sadzami i mąką, niepodobny do boskiego stworzenia. Burza spadła na właściciela piekarni, który wytłómaczył się, że gdy milord chciał (Mortopulosa uważali Włosi za Anglika, bo nieumiał mówić po włosku, dobrze płacił i wymyślał) on musiał wypełnić wolę milorda. Skończyło się na zapłacie kilku lirów za tę przyjemność i żegnamy Weronę, choć nam później jeszcze kilka razy przejeżdżać przez nią wypadło.

Opuszczam Padwę do której jeszcze wrócimy i przechodzę do Wenecyi, królowej morza, której historyi i sztuce pozwolą mi czytelnicy obszerniejszy poświęcić ustęp.

(*D. c. n.*)

O DESZCZU

i

pokrewnych mu zjawiskach.

(Dalszy ciąg).

Otóż znaczna część powierzchni ziemi pokryta jest wodą, a nawet, woda zajmuje daleko większą przestrzeń na kuli ziemskiej niż ląd stały; przeszło $2\frac{1}{2}$ raza więcej. Ogromna ta ilość wody bezustannie ulatnia się na swej powierzchni i wysyła w atmosferę znaczne ilości pary, tak że powietrze nigdy nie jest zupełnie suchem, nigdy nie jest zupełnie wilgoci pozbawionem.

Mówimy niekiedy, sądząc z wrażenia jakiego doznaje ciało nasze od zetknięcia z powietrzem, dziś jest powietrze wilgotne, dziś jest suche, ale uczucie to nasze nie zależy od istotnej ilości pary wodnej w powietrzu; ważny wpływ na tę ocenę naszego ciała wywiera i odpowiedni stan temperatury, ciepła, jak to zrozumiemy z następnego objaśnienia.

Jeżeli w płytkiem naczyniu—znajduje się nieco wody, woda ta zwolna się ulotni, naczynie wyschnie; ale jeżeli toż samo naczynie zakryjemy dzwonem szklanym, ściśle przystającym, to ulatnianie rychło ustaje i naczynie nie wysycha. To okazuje, że zamknięta pod dzwonem przestrzeń powietrza przyjąć może tylko oznaczoną ilość pary wodnej. Bliższe badanie nauczyłoby nas, że ta ilość pary, jaką dana objętość powietrza może w sobie mieścić, jest zależna od temperatury, t. j. od stanu ciepła. Jeżeli temperatura rośnie, więcej pary utworzyć się może w danej przestrzeni, a jeżeli znów tę przestrzeń oziębimy, to cała ilość pary, poprzednio utworzona, już się utrzymać nie będzie mogła i część jej osiądzie na ścianach dzwonu szklanego w postaci bardzo drobnych kulek. Jeżeli powietrze zawiera tyle pary wodnej, ile jej w ogólności zawierać może przy danej temperaturze, mówimy, że powietrze jest nasyconem. Gdyby powietrze było kiedy zupełnie nasyconem, bielizna mokra schnąć by już nie mogła, bo w takiem powietrzu woda już się ulatniać nie może. Ilość pary, jaka jest potrzebna do nasycenia powietrza jest bardzo różna w różnych temperaturach, i tak:

przy temperaturze 0, 10, 20, 50, 40
kwarta powietrza)
zawierać może 5, 9, 18, 33, 58 centygr.

Dla łatwiejszego ocenienia znaczenia tych liczb dodam, że centygram jest to ciężarek bardzo drobny, których na funt warszawski idzie 40,550; kwarta zaś suchego powietrza w zwykłych warunkach waży 129 centygramów.

Jeżeli więc przy temperaturze 10° powietrze w danem miejscu zawiera tyle wilgoci, że kwarta jego mieści w sobie 8 centygr. pary wodnej, powietrze to będzie bardzo wilgotnem, ale jeżeli taż sama ilość pary mieścić się będzie w kwarcie powietrza przy 30° to powietrze takie będzie już bardzo suchem. Na poczucie przeto wilgotności wpływa nie wilgotność istotna powietrza, t. j. nie istotna ilość pary mieszcząca się w powietrzu, ale niejako wilgotność względna, t. j. ilość pary w zależności od temperatury powietrza.

Jeżeli powietrze bliskiem jest stanu nasycenia, jeżeli np. przy temperaturze 20° kwarta jego zawiera około 18 centygramów pary, a powietrze w skutek pewnych przyczyn zostanie oziębionem, to już całkowita ilość pary w tym stanie utrzymać się nie będzie mogła,—

część jej się skrapla, i para wraca w stan, z którego wyszła, przechodzi w wodę,—powstaje rosa lub mgła.

Jeżeli powietrze bliskie stanu nasycenia znajdzie się w zetknięciu z jakim przedmiotem zimniejszym, to para powietrza zaczyna osiadać na tym zimnym przedmiocie w kropelkach niesłychanie drobnych, które zwolna spływają w krople coraz większe,—i tworzy się rosa.

Podczas pogodnej nocy przedmioty na ziemi będące stygną, w skutek tego, że wysyłają promienie ciepła w przestrzeń światową. Nie wszystkie atoli przedmioty jednakowo są usposobione do tego wysyłania ciepła, czyli jak się wyraża nauka, różne ciała posiadają różną zdolność promieniowania ciepła. W najwyższym stopniu posiadają tę własność rośliny i ich różne części, w niższym stopniu kamienie, a w jeszcze niższym metale. Jeżeli umieścimy na trawniku termometr w czasie pogodnej nocy, to opada on o 7° lub 8° niżej, niż termometr zawieszony na kilka tylko cali, nad powierzchnią ziemi. W skutek silnego to promieniowania, wysyłania ciepła, powłoka roślinna, pokrywająca ziemię, ulega znacznemu oziębieniu,—a oziębienie to właśnie, jakeśmy mówili, sprowadza dobroczynną dla roślin rosę. Po suchym, gorącym dniu letnim, więdnące rośliny opuszczają swe usychające liście,—ale noc sprowadza im orzeźwiającą wodę, a ranne słońce znajduje je świeżemi i odżywionemi, zroszonemi przez krople połyskujące, które jego światło w barwnym odbijają blasku.

Koniecznym więc warunkiem dla utworzenia się rosy jest silne promieniowanie, silne stygnięcie ziemi, dlatego też gdy niebo jest zakryte gęstą powłoką chmur, rosa nie opada, gdyż wtedy ta powłoka chmur odbija promienie ciepła wysyłane przez ziemię i nie zezwala na silne stygnięcie. Pod stołem trawa pozostaje suchą, gdy w około silnie jest zmoczona rosą. Również i przy silnym wietrze rosa nie powstaje, gdyż powiew wichru zbyt szybko odnawia powietrze zostające w zetknięciu z zimnym przedmiotem i dlatego uniemożliwia należyte studzenie się powietrza. W małym też ogródku, otoczonym wysokiemi murami rosa tworzy się daleko słabiej, niż w otwartem polu; gdyż tu cała przestrzeń niebieska działa oziębiająco, tam zaś tylko niewielka jego przestrzeń.

Z tworzeniem się rosy łączy się bezpośrednio zjawisko szronu,—szron bowiem jest tylko zmarzłą rosą, i powstaje bądź z rosy poprzednio utworzonej, która marznie w ciągu nocy, bądź też, przedmioty na których rosa osiada, mogą posiadać temperaturę niższą od 0, przyczem, jak wiadomo, woda już się w postaci ciekłej utrzymać nie może i przechodzi w lód, tak, że para wodna z powietrza osiada na tak oziębionych przedmiotach wprost w postaci białych płatków lodowych.

Szron powstaje często obficiej w krajach południowych, gorących, niż w klimacie naszym. Tam bowiem niebo posiada czystość o wiele większą niż w okolicach naszych a i nocne oziębianie ziemi jest tam nader potężnem. Na tej to zasadzie polega w Indyach sposób otrzymywania lodu.

W czasie bardzo pogodnej nocy umieszcza się na wolnem miejscu płaskie naczynie z wodą na słomie, aby je ochronić od ogrzewania się od samego gruntu; w skutek wysyłania czyli promieniowania ciepła woda oziębić się może na 16 lub 17 stopni niżej od temperatury powietrza, co często wystarcza do zlodowacenia wody.

Ogrodnicy i rolnicy znają z doświadczenia wpływ takich nocy pogodnych i obawiają się ich zwłaszcza na wiosnę po deszczu. Gdy w miastach i miejscach zamkniętych temperatura gruntu nie dochodzi zera, to w miejscach otwartych rośliny w czasie takiej nocy oziębić się mogą na 5°lub 6° niżej zera, rosa przechodzi w szron, a często kilka godzin wystarcza do zniszczenia najpiękniej zapowiadających się zbiorów. Szron jest niebezpieczniejszy po deszczu niż po długotrwałej suszy, gdyż rośliny są wtedy delikatniejsze i czulsze, a przeto zimna nie mogą łatwo znosić. Całe to zjawisko, jak widzimy, bardzo jest naturalnem i łatwo daje się wytłómaczyć, ale człowiek lubi zawsze wyszukiwać winnego, na którego by mógł złożyć przyczynę swego niepowodzenia,—i tu także wynalazł swego kozła ofiarnego i rolnik zgubę swoich kiełkujących roślinek przypisuje promieniom księżyca. Towarzysz, atoli ten ziemi jest tu zupełnie niewinnym, przyświeca on wprawdzie na pogodnem niebie, ale to właśnie tylko owo niezachmurzone niebo szkodzi roślinom, a bynajmniej nie księżyc, który je blaskiem swoim złoci.

W każdym razie rolnik stara się młode rośliny uchronić od zgubnych skutków silnego oziębiania; u nas okrywa je matami słomianemi, w Ameryce połud., gdzie pomimo silnego upału dziennego, chłód nocny jest bardzo dotkliwy, rolnicy zapalają wokół swych pól ogromne ogniska wydające wiele dymu; przy spokojnem powietrzu dym ten rozciąga się poziomo w kształcie chmur i tworzy osłonę, chroniącą zboża od silnego wysyłania ciepła, a tem samem od ziębnięcia.

Inna znów przyczyna wywołać może powstawanie rosy nawet w dzień. Jeżeli mianowicie po długotrwałem zimnie nastąpi wiatr ciepły i wilgotny dosyć nagle, tak że mury, drzewa i t. p. nie miały czasu się ogrzać, to zagęszczają, skraplają na sobie parę wodną z powietrza i stają się wilgotne, a gdy temperatura ich jest niższą od temperatury marznięcia wody, to pokrywają się białym osadem lodowym, tak zwanym białym mrozem. Biały ten mróz stanowi często piękną ozdobę dla drzew i krzewów, które się wydają jakby ocukrzone, ale niekiedy tworzy się on w tak znacznej ilości, że drzewa uginają się i łamią pod tym ciężarem—co sprowadza znaczne w lasach szkody.

Dodać wszakże należy, że do utworzenia białego mrozu niekoniecznie potrzeba, aby przedmioty, na których on osiada były zimniejszemi od otaczającego powietrza, kryształki bowiem lodowe łatwiej osiadają na powierzchni chropawych przedmiotów, niż w wolnem powietrzu, a zwłaszcza też łatwo się przyłączają do istniejących już kryształków lodowych i w ten sposób, warstwa szronu szybko grubieje. W podobny też sposób tłómaczy się szron, który przy silnem zimnie pokrywa naszę odzież i nasze włosy.

(D. c. n.)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

CZĘŚĆ DRUGA.

System wychowania

(według metody Froebla).

Pestalozzi i Froebel są przedewszystkiem nauczycielami matek. Oni je uczą już od kolebki rozwijać w dziecięcym umysł, serce i zarazem siły fizyczne. Jeżeli Roussean, powstając przeciw nadużyciom starej rutyny wychowania, podkopał ją i sprowadził jej kompletny upadek, Pestalozzi i Froebel zjawili się w chwili, w której wszyscy gubili się w domysłach i niemogli znaleść prostej drogi. W owej krytycznej chwili zjawił się Pestalozzi a następnie Froebel utorwali drogę, po której matki i nauczyciele, śmiało stąpając, z łatwością przyjść mogą do celu.

Pestalozzi, wswej książce „dla matek, czyli Leinhardt i Gertruda“ zwraca uwagę młodych matek, na najdrobniejsze szczegóły charakterów dziecinnych i zachęca je do ciągłego badania wszystkich ich rozwijających się skłonności. Dziełko to jest tak zajmujące, że w swoim czasie, przez damy wielkiego świata rozchwytywanem było. Królowa pruska Ludwika, słynąca jako najlepsza i najczulsza matka, nieraz do łez była wzruszoną trafnemi spostrzeżeniami i łagodnym, pełnym miłości sposobem obchodzenia się z dziećmi, którego uczy *Leinhardt i Gertruda.*

Od tej epoki pół wieku upłynęło—a że świat i ludzie do wszystkiego się przyzwyczajają, więc też i książka Pestalozziego przestała zajmować umysły macierzyńskie i odtąd mało o niej myślano i pamiętano.

Wtedy właśnie kiedy umysły zaczęły usypiać, wystąpił Froebel, który rozwijając metodę swego poprzednika, zastosował ją do potrzeb ogółu, i przyjęty z zapałem przez wszystkie narody, sprowadził, że tak się wyrażę, przewrót kompletny w metodzie dotychczas po szkołach i zakładach naukowych a nawet w domach rodzicielskich używanej. Przedewszystkiem Froebel, biorąc za zasadę, że natura dziecka, jeszcze przed urodzeniem potrzebuje ruchu, uczy zaspakajać tę potrzebę zaraz po urodzeniu i dlatego powstaje przeciw staremu zwyczajowi powijania i krępowania dzieci.

Dalej, kierując się zasadami wyrażonemi w słynnym *Emilu* Jana Jakuba Rousseau, a odrzucając wszystkie ekscentryczności, temu autorowi właściwe, rozwija jego myśl zasadniczą polegającą na zbliżeniu dzieci do natury, a nie wychowywaniu ich jakby w klatkach. Dlatego też widzimy najlepiej i przekonywamy się, że dzicy ludzie, żyjąc i umierając pod gołem niebem, rozwijają się daleko wcześniej niż my, mieszkańcy krajów cywilizowanych.

—I jakże nas można porównać z dzikimi, lub zastosować do nas ich sposób wychowania—odezwą się z oburzeniem moi czytelnicy,—najprzód nasz klimat, odzież, słowem wszystko przedstawia różnicę.

— Przepraszam, jeżelim się niedostatecznie wytłómaczyła, przerwę im, różnica jest nadzwyczajna, przechodząca wszelką możliwość zastosowania jej do naszych potrzeb, a jednak wychowanie dzieci u dzikich dokładniej rozwija siły fizyczne i władze zmysłowe, niż nasze.

Żeby się lepiej i zrozumialej wytłómaczyć, podam tu przykład dotykalny.

Dziecię, chociażby nie dzikie, ale mające rodziców rolników, jednem słowem dziecko chłopskie, w piątym roku życia jest rozwinięte, silne, pojmuje dokładnie wszystko co je otacza, w końcu potrafi dać sobie radę we wszystkiem, nie zbłądzi na drodze, gdyż orientuje się wszędzie. A nasze, wypielęgnowane w wygodach i dostatku, w piątym roku jest słabe, wątłe, nierozwinięte, każdy powiew wiatru nabawia je kataru i kaszlu, zamoczenie nóg, groziłoby mu śmiercią i zostawione samo, zamiast zabawienia się, zaczęłoby płakać i lamentować, bo lęka się każdego szelestu, ciemności, przechodzącego dziada, i zwierząt nawet domowych.

Ta niedołężność pochodzi li tylko z miękkiego wychowania, a zapobiedz temu byłoby łatwo, gdybyśmy mieli dosyć siły woli nad sobą, zmienić najprzód nasz, często zgubny tryb życia, a powtóre, gdybyśmy się starali dziecię, którem nas Pan Bóg obdarzył, wcześnie rozwijać.

Otóż „każda prawda zanim trafi do serca i umysłu człowieka, musi przejść przez zmysły i być przez nie pojętą:“

Tak samo się dzieje ze wszystkiemi przedmiotami, które dziecię spostrzega, najprzód musi zrozumieć co to jest takiego, później zapamiętać, a w końcu podług swego pojęcia użytek z tej rzeczy zrobić. Naprzykład piłka zawieszona u góry nad łóżeczkiem dziecka, poruszaniem się swojem sprawia mu wielką przyjemność, dziecię patrzy z zajęciem na ten okrągły przedmiot, który niańka lub matka w ruch wprawiają, nucąc przytem śpiewkę do tego ruchu zastosowaną; dziecię się przyzwyczaja do takiego przedmiotu, a później kiedy mu będą tłómaczyli o kulach, o kwadratach, i prostokątach, już dla niego przynajmniej jedna postać nie będzie obcą; rozpozna zaraz kulę, przypomni sobie jej ruch; jednem słowem, będzie to dla niego rzecz znajoma, podług której z łatwością zrozumie inne.

Niemcy, przyswoiwszy sobie w zupełności metodę froeblowską, wielką uwagą zwrócili na piosenki jego układu. Zdaje się nam, że piosenki te, wielką by korzyść przyniosły, gdyby też i u nas były rozpowszechnione, i dlatego przytoczymy tu z nich kilka:

A najprzód piosenka Tik-tak!

I.

Spójrz maleńki, spojrzej sam,
Poznaj wahadłowy ruch;
Twoja rączka *tu* i *tam*
Biega wciąż w kierunkach dwóch,
Dając ciągle ruchu znak
Swojem *tik* i swojem *tak!*
Tik-tak, tik-tak!

II.

Zegareczku nie zwódź nas
Zawsze wiernie wskazuj czas:
Kiedy trzeba spać, jeść, pić
Kiedy buzię, rączki myć;
Bo serduszko takie mam,
Co chce zawsze być bez plam:
Niech więc rączki dają znak
Zawsze *tik* i zawsze *tak*.
Tik-tak, tik-tak.

Tu matka, biorąc w swoje ręce, rączki dziecka, naśladuje w takt poruszenia wahadła, dziecię śmieje się i cieszy. Z przyjemnością słucha piosenki, a w końcu stara się samo, w takt, naśladować ruchy wahadła. Później zegar nie będzie mu obcym, a wytłómaczenie jego użytku i konstrukcyi, łatwo pojąć zdoła.

Tak samo co do innych śpiewek; wszystkie członki ciała jedne po drugich służą do wyobrażenia przedmiotów opiewanych w tych piosenkach, naprzykład: gniazdko ptasie tworzą dwie ręce złączone razem; duże palce trzymane prosto, przedstawiają dwa jaja, podniesione zaś później do góry, wyobrażają dwoje piskląt. Przytem śpiewać trzeba następującą piosenkę:

Ptaszek co tak pięknie śpiewa
Kryje gniazdko w liściach drzewa
W niem jajeczka składa swoje
Wysiaduje piskląt dwoje.

* * *

Niech z was każde to pamięta
Że maleńkie te pisklęta
Wciąż wołają do swej mamy
Pi... pi... pi!... my cię kochamy.

Wszystko to są niewinne zabawy, dozwalające dzieciom poruszać dowolnie rączkami i nóżkami i przyzwyczajające ich ucho do rozumienia melodyi i do taktu, w końcu są to zabawy, które bardzo dzieci zajmują.

Nie śmiemy arbitralnie sądzić i zdania naszego wyjawiać w tej mierze.

Niemcy, mogą przesadzać mówiąc, że te gry rozpowszechnione w każdej rodzinie, wykształcałyby dzieci na ludzi genialnych; zawsze jednak pomagają trochę do gimnastykowania członków, oświecają umysł, a w końcu są dobrym środkiem do zabawienia dzieci i niezostawiają im czasu do kaprysów.

Tak kształcą się dzieci w kolebce, dopóki im siły fizyczne nie dozwolą bawić się samymi i trzymać w rączkach rozmaitych przedmiotów.

Następnie wstępują w drugi peryod umysłowego rozwoju. Tocząc przed sobą piłkę—bawiąc się z lalką—przebierając gałganki, przyzwyczaja się dziecię, do władania swemi członkami bez obcej pomocy. Już się ono wtedy nie zadowoli samem tylko patrzeniem, wszystkie pokazywane sobie przedmioty musi wziąć w rączkę, musi je obejrzeć, do buzi włożyć, a w końcu i zepsuć.

Branie wszystkiego do ust pochodzi z rozwinięcia się smaku, bardziej niż innych zmysłów. Pierwszą czynnością dziecięcia jest jedzenie, zmysł więc smaku ma ono najlepiej wyrobiony i dlatego stara się każdy przedmiot najprzód za pomocą tego zmysłu zbadać i w tym celu niesie go do buzi. Dopiero niedobry smak jakiego pokarmu lub przedmiotu, zraża dziecię do niego—staje się ono od tej pory bardziej podejrzliwem, i nie tak chciwie bierze do ust wszystko co mu podpadnie pod oczy.

Psucie zabawek jest, jakeśmy to w pierwszych rozdziałach nadmienili wynikiem chęci czynienia nowych wynalazków, zaspokojenia ciekawości, przeistoczenia każdego przedmiotu na nowy, jednem słowem, chęci użycia swego własnego zasobu sił, twórczego samoistnego działania.

Rodzice powinni skorzystać z tego i usuwając z rąk dzieci wszystkie droższe i potrzebne przedmioty, dawać im do zabawy takie, których niełatwo się łamiąc, dały się w zabawie używać podług upodobania.

Froebel radzi dawać dzieciom kawałki drzewa, opatrzone rysunkami i numerami, które składając w rozmaitych kierunkach, uczyłyby się poznawać kształty domów, drzew i zwierząt, oraz rozmaitych innych przedmiotów. W ten sposób dziecię może się bawić, aż do trzeciego roku, w którym to wieku otwierają się przed nim ogródki dziecinne, których urządzenie, stanowi najwybitniejszą charakterystykę metody naszego mistrza.

(*D. c. n.*)

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

I.

Opisanie Wólki—rodzice bohatera—sprowadzenie tego ostatniego z miasta.

Jesteśmy na wsi. Przed nami rozległa przestrzeń, w której zieleni się łąka upstrzona tysiącami różnobarwnych kwiatków, kołyszą się jak fale łany złocistej pszenicy, bieleją chatki wieśniacze, a cały ten obrazek ujęty w ciemną ramkę jodłowych borów, wprawdzie przetrzebionych dobrze, ale jeszcze imponujących zdaleka ogromem i zielenią.

Zresztą, gdzie dzisiaj znajdziesz owe lasy gęste, w których żubry sypiały pod masztowemi sosny, a modrzewie i buki splatały konary w siostrzanym uścisku...

Popłynęło to wszystko powoli, potrochu, a poczciwa stara Wisła wydźwigała tych olbrzymów na barkach srebrzystych, oblała ich łzą pożegnania, i mrucząc na nieogledność ludzką, rzuciła na Bałtyk.

Już wieczór, wracają ludzie z pola—kudłate psisko zagania owce, wozy turkoczą, dziad dzwoni w kościele w sygnaturkę, nie wiele większą od dzwonka u sanek, a domorosły artysta wygrywa na ligawce melodye nieuczone, ale smętne i łzawe jak historya doli kmiecej.

Jeszcze gdzie niegdzie słychać gwary, wreszcie wszystko usypia i nastaje cisza, którą przerywa szczekanie psów, lub turkot oddalonego młyna.

I noc zakrywa przed naszemi oczami ten miły i swojski krajobraz. Ale noc ta jest łagodna, cicha, księżycowa—i czytelnik nie narazi się na zaziębienie ani na katar, jeżeli raczy przejść się myślą po piaszczystym gościńcu dla powzięcia wyobrażenia o posiadłości pana Marka Chojnowskiego, właściciela Wólki i białego dworku pod lasem,

A zatem idziemy.

Zamiast jednak zastanawiać się nad głębokością piasku, pokrywającego gościniec, lub zamiast liczyć lipy, które wbrew obyczajom narodowym, dorosły do wcale pięknych rozmiarów, pogawędzimy sobie o samym właścicielu Wólki.

Trzeba wam wiedzieć, iż takich panów Marków niewielu już można naliczyć. Jeszcze jakiś czas, a będziecie ich znali tylko z rysunków Kostrzewskiego, lub pamiętników waszych babek...

Wprawdzie w planie naszej gawędki nie leży kreślenie bjografii pana Marka, na sposób przyjęty przez pisma ilustrowane, wszelako jednak musimy wspomnieć, że pan Marek urodził się w Wólce, a tam wyrósł, zmężniał, utył, posiwiał, wyłysiał, i tam prawdopodobnie głowę położy.

Wieść niesie, że pan Marek w młodości chodził do szkół, w których prawdobodobnie się uczył. Godzi się jednak wątpić czy się wiele nauczył, gdyż z erudycyą nie rad się popisywał, i nie miał nawet zamiłowania do drukowanej bibuły, wskutek czego ani jedna ekspedycya pism perjodycznych nie mieściła go na liście prenumeratorów.

Chociaż pan Marek nie był prenumeratorem żadnego pisma, chociaż nie wiele czytywał, był jednak człowiekiem zacnym, i cieszył się miłością sąsiadów.

Był on jednym z tych poczciwych ludzi, którzy piszą *góra* przez *u* i *rzeka* przez *z*.

Nie idzie jednak za tem, żeby pan Marek nie miał być rozumnym. Owszem, na gospodarstwie znał się wybornie, a nawet po długich wahaniach kupił sobie żniwiarkę, która pogodziła go z postępem.

Działo mu się nieźle, chociaż wyrzekał na ciężkie czasy, i miał podobno trochę gotówki, o czem wiedział dobrze ksiądz Symforyan, proboszcz parafii pana Marka.

Kiedyś pan Marek kochał szalenie. Skutkiem tego wstąpił w świętą koniunkturę matrymonialną z ideałem swych marzeń. Uczucie jego, owa miłość młodzieńcza, przerodziła

się z czasem, i odbyła metamorfozę. Pan Marek drżał przed swoją połowicą, a złośliwi plotkarze utrzymywali, że drżał ze strachu. Chociaż ksiądz Symforyan mówił na panią Markową „hic mulier,“ my jednak nie będziemy się wdawali w tajemnice domowego pożycia tych państwa.

Dla naszej opowieści wystarczy, jeżeli powiemy, iż pan Marek przez ożenienie się zyskał tyle, że spiżarnia jego stała się wzorem spiżarni, a on sam stał się wzorem uległości i biernego posłuszeństwa. Oprócz tego, dom pana Marka ożywił się znacznie, a do spodziewanej po nim sukcesyi było ośmiu spadkobierców w linji prostej.

Ci młodzi ludzie, których imiona miały kiedyś figurować w dziale II księgi hypotecznej dóbr Wólka B., a z których obecnie siedm ósmych części figuruje w łóżkach, dzielili się na następujące kategorye: do płci męzkiej należało pięcioro, do żeńskiej troje. Według wieku zaś, pierwodek miał lat 17 i był uczniem klasy trzeciej gimnazyum w N. panienka jedna miała lat 15, druga 13, trzecia 11... reszta zaś potomstwa byli to chłopcy. Widząc jednak, że wiek dzieci państwa Marków poczynając od pierworodka, przedstawiał arytmetyczny postęp malejący z wykładnikiem *dwa*, i wiedząc o tem, że liczba wyrazów tego postępu była ośm, za pomocą właściwych formuł matematycznych możemy twierdzić, że ostatni wyraz tego postępu, mały Jasio, ma obecnie lat trzy.

Zapewne obserwując rzeczy ze stanowiska czysto patryarchalnego, jest rzeczą bardzo przyjemną widzieć się otoczonym licznem gronem rodziny, i tego zapewne przekonania był pan Marek; odwieczna jednak prawda, iż każdy medal ma dwie strony, dawała mu się uczuć dotkliwie, i kazała mu zastanawiać się nad przyszłością tego arytmetycznego postępu. Że jednak w parlamencie małżeńskim państwa Marków, stronie opozycyjnej, to jest panu Markowi, niepodobna było myśleć o wnioskach, więc właściciel Wólki zdał się na wolę losów, powtarzając w duchu od czasu do czasu; co to będzie? co to będzie....

Ale otóż i dworek....

Przypatrzmy się—chociaż to noc, jednak poczciwy księżyc, powiernik zakochanych, świeci blademi policzki, i nie przeszkadza podobnym oględzinom.

Jeżeli znacie Polowskie gawędy, toście już taki dworek widzieli w waszej wyobraźni, Taki sam, niski, pochylony, bielony, nie ręczyłbym nawet czy nie modrzewiowy. Okienka małe i ganek na słupach i ogródek z tyłu, i tradycyjny gołębnik na środku dziedzińca.

Zabudowania gospodarskie znać zeszłej zimy świeżo słomą poszyte, imponują żółtemi dachy. Cały zaś ten obrazek ujęty w skromną ramkę chróścianego płotu.

Rzekłbyś, że założyciel tej ustronnej siedziby znał słowa poety:

„Naprzód przed drzwiami, lipę zasadzę,
Wkoło płotami sad oprowadzę....
Będzie przy wodzie pięknie ciosana
Kamienna postać świętego Jana....“

I to jest. Nad wodą stoi kapliczka, a w niej figura tego świętego—figura ciosana, chociaż czy pięknie, to znowu inne pytanie. Nie przychodzimy tu jednak w charakterze krytyków, na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, a to samo uwalnia nas od wygłaszania sądu o wartości estetycznej tego dzieła snycerstwa krajowego—a zresztą, te figury wykonywane przez amatorów-artystów, według skali pojęć estetyki wieśniaczej, piękne są, bo święte, a to im wystarcza. A dziewczyna wiejska z równem nabożeństwem uklęknie przed taką figurką, jakby uklękła przed dziełem Canovy lub Michała-Anioła.

Jesteśmy tedy przed dworkiem. Czemu jednak gdy cisza nocy otoczyła całą okolicę, gdy wszystko spoczywa błogim snem ujęte, czemu jednak w okienku pana Marka jaśnieje światełko? Żeby na to odpowiedzieć, trzeba zajrzeć przez okno.

Nad stołem pochylony siedzi pan Marek, znać ważną sprawą zajęty, ponieważ widzimy tylko jego łysinę oświetloną niepewnym blaskiem łojówki. Przed nim leży szmat papieru, stoi atrament w flaszeczce pozostałej po kroplach na robaki, leży kilka piór gęsich skazanych na to, aby jednym końcem strzedz czystości fajki pana Marka, a drugim wzbogacać literaturę familijną. Pan Marek pisze.

Nie sporo mu jednak idzie — od czasu do czasu podnosi głowę, pociąga ogromną ilość dymu z pieprzowego cybucha, i wygląda w owej chwili jak Jowisz siedzący w chmurach i rzucający pioruny.

Nie myślimy być tak niedyskretnymi, aby kopiować utwory pana Marka, i wywoływać przez to złośliwe komentarze co do ortografii, o jakiej ani profesor Małecki ani Ks. Malinowski nie słyszeli. Nie możemy jednak powstrzymać się od przytoczenia treści tych utworów.

Pierwszy z nich zaadresowany: „do własnych rąk Imć Pana Czesława Chojnowskiego, ukochanego syna i ucznia klassy III Gimnazyum,“ wzywał adresanta aby przyjechał pod dach rodzicielski, oraz aby miał w drodze baczenie na starego Onufrego woźnicę, który znany był ze swej słabości do kieliszka.

Drugi zaś utwór adresowany do właściciela handlu winnego i korzennego, był po prostu spisem rozmaitych ingredyencyi gastronomicznych — prośbą o łaskawe nadesłanie takowych wraz z rachunkiem.

Dwa te dokumenty niesłychanie ważne w życiu naszego bohatera, były wykonaniem rozkazu dziennego, który wyszedł z różanych usteczek pani Markowej, i brzmiał mniej więcej temi słowy:

— Mój Mareczku, trzeba Czesia odebrać ze szkół, i trzeba pojutrze przyjąć gości. Właśnie na ten dzień nadjedzie mój braciszek z Galicyi, i jako człowiek bywały i mądry, poradzi nam najlepiej, co mamy robić z dzieciakiem.

— Dobrze moja duszko, odpowiedział pan Marek.

— Wypraw więc Onufrego na całą noc, niech jedzie do miasta, przywiezie Czesia i sprawunki według tej karteczki załatwi.

— Dobrze mój aniołku.... odrzekł pan Marek, a po chwili, gdy żona wróciła do swego pokoju, zasiadł nad stołem i uczynił te dwa wypracowania piśmienne, o jakich wspomnieliśmy przed chwilą.

Skończywszy pisanie opieczętował listy sygnetem, na którego olbrzymim krwawniku wyryte było wyobrażenie herbowej tarczy domu Chojnowskich, zapalił olbrzymią latarnię oplecioną drutem zielonym, latarnie która nie wyjdzie nigdy z mody na Podlasiu, tej krainie konserwatyzmu i piasku, i uzbrojony długim sękatym kijem udał się do stajni, skąd tubalny głos jego rozchodził się po wszystkich zabudowaniach folwarcznych.

W półgodziny potem, dwa grube, łyse kasztany ciągnęły po gościńcu żółty wózek węgierski, na którym kiwał się w różnych kierunkach na pół śpiący Onufry, nie przewidując nieszczęścia jakie go spotkało.... gdyż sławny bat na trzcinowej kozicy, godło jego masztalerskiej godności, i zarazem pamiątka z Łęczyńskiego jarmarku, wypadł z bryczki i został na szerokim gościńcu, aby nazajutrz stać się łupem powracającego pocztyliona.

Pan Marek położył się spać, błogosławiąc noc—Onufry zaś obudził się przeklinając miasto, dziedzica i nocną jazdę; która go pozbawiła tak pięknego „*statku*“ jakim był ów batog.

Ponieważ obie te akcye nie są ciekawe, przeto szanowny czytelniku, dajmy za wygraną spostrzeżeniom dzisiejszej nocy, a raczej zajrzyjmy do Wólki wtenczas, kiedy promienie słońca obudzą naszych bohaterów, i dozwolą im przedstawić się waszej wyobraźni w przyzwoitych kostiumach.

(*D. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Pan Antoni Sznajder, wydawca „Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi,“ wypracował **mapę archeologiczną Galicyi**, mającą wkrótce wyjść nakładem hrabiego Artura Gołuchowskiego.

— Miasteczko **Brüx** w Czechach, liczące około 4,000 mieszkańców, pod którem rozciągają się rozległe kopalnie węgla kamiennego, zagrożonem jest zawaleniem się do tychże kopalni. Sklepienia niektórych galeryi tak popękały, iż z narażeniem życia robotników, dokonano w nich jakich takich stęplowań, któreby mogły odsunąć katastrofę. Prawdopodobnie kopalnie całe będą musiały uledz zamknięciu.

— Jerzy Sand (pani Dudevant) w nowym swoim utworze, niedawno wyszłym z pod prasy p. t.: **„Autour de la table,“** kreśli portrety najznakomitszych poetów XIX-go wieku. Spotykamy się tam ze znakomicie przedstawionymi portretami: Balzaka, Berengera, Göthego, Mickiewicza i innych.—Z Mickiewiczem, autorkę łączyły stosunki przyjaźni—dla tego też to co o nim pisze ma podstawę prawdziwości, a nas najbardziej interesuje.

— Trybunał cywilny w Lionie wydał niedawno wyrok w sprawie **OO. Jezuitów** przeciwko rządowi francuskiemu, prowadzonej o zajęcie ich klasztoru przy ulicy świętej Heleny — po wypadkach w 4-m września 1870 r. Mocą tego wyroku, skarb ma zapłacić Jezuitom jako wynagrodzenie, sumę 280,000 franków.

— W Wiedniu otwartą została w dniu 1 marca b. r. **poczta pueumatyczna**, urządzona przez inżyniera Felbingera podług paryskich wzorów. Poczta ta przesyła we wszystkich kierunkach miasta, listy i depesze w puszkach, które popychane zgęszczonem powietrzem przebiegają na sekundę 20 metrów.

— W dniu 5 b. m. urządzonem było w Petersburgu, w sali stowarzyszenia artystów przedstawienie, składające się z **żywych obrazów**, Między obrazami był jeden, przedstawiający zwycięztwo Jana Sobieskiego nad Turkami pod Wiedniem.

— W dniu 17 Lut. odbyło się we Lwowie pierwsze posiedzenie **Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika.** — Na tem posiedzeniu, na przewodniczącego obrano Dr. Kreutz, a na jego zastępcę Dr. Radziszewskiego.

— Niejaki **Holloway**, który na pigułkach swojego wynalazku, dorobił się znacznego majątku, zamierza obecnie w okolicy Egham, w bliskości Londynu, założyć uniwersytet dla kobiet, wyznaczając na ten cel dość pokaźną sumę, bo około miljona funtów szterlingów. Tenże sam Holloway niedawno wystawił swoim kosztem wielki szpital dla ubogich, który go kosztował miljon rubli. Łatwo doszedł do majątku, ale go potrafi z pożytkiem dla ogółu używać.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawa, **Bronisław Przyrembel.**